

## Marian Karol Leja

29.01.2008.

Zmieniony 22.12.2010.

Wspomnienie Był zimny, lutowy dzień. Kondukt żałobny podążał za trumną Mariana Karola Leja w stronę cmentarza parafialnego w Łukowicy. Szczególna była data: 20.02.2002. Podobny rząd cyferek pojawi się dopiero za tysiąc lat. Pomyślałem wtedy, że pogrzeb artysty nie mógł odbyć się w zwykły, pospolity dzień...

Bo też życie Mariana Karola Leja, choć niełatwe - a może właśnie dzięki temu - do zwykłych nie należało. Wiem, że dla wielu mieszkańców Łukowicy, którzy mijali niepozornego staruszka na ulicy, Leja był po prostu sąsiadem, rolnikiem jak oni, choć pewnie wiedzieli, że coś tam kiedyś "dłubał" w drzewie. Mam wrażenie, że mimo dziesiątków lat działalności takiej instytucji jak "Cepelia" wciąż w naszym społeczeństwie nie jest wyrobione przekonanie o dosłownej wartości ludowych dzieł sztuki. Stąd się bierze, czasami spotykane, lekceważące kwitowanie z przekazem trudów rzeźbiarza i malarza, którzy w stwardniałe od pracy rolniczej dłonie biorą dłuto lub pędzel...

{jgxgal folder:=[grafika/jg/leja] title:=[Prace Mariana Karola Leja] cols:=[4]} Z czego w ogóle wynika potrzeba "dłubania"? Ano jest to odwieczna, prastara zasada tworzenia dla bliźnich, by im ułatwić, umilić, ubarwić potoczne życie. Tyle tylko, że przed tysiącami lat - choćby w grotach Lascaux - twórczość samorodnych talentów szła w parze z o wiele większą akceptacją społeczną i przydatnością ich wytworów. Produkowano piękno z autentycznej potrzeby dawcy i biorcy. Taki przedpiastowski posążek, spinka, grot włóczni czy amulet wynikały z konieczności życiowych gromady. I tu dochodzimy do sedna, bowiem najciekawsze jest to, że dzisiejsze rzeźby wykonywane przez samorodnych artystów po wielu wsiach naszego kraju, a mam na myśli przede wszystkim twórczość spontaniczną, niekoniecznie kontraktowaną cepeliowsko - są chwilami wręcz bliźniaczo podobne do figurek i ornamentowanych cudeniek z gablot archeologa. Jest to ten sam impuls twórczy, identyczne tworzywo, ale także to, co nieco mistycznie zwiemy genius loci...

Późnym popołudniem piję herbatę w rodzinnym domu artysty w towarzystwie jego rodziny. Przeglądam liczne dyplomy, dokumenty i księgi pamiątkowe wystaw. Przy wpisach widnieją nazwy miejscowości: Wałbrzych, Opole, Starachowice, Warszawa. "Życzymy dalszych sukcesów w pracy twórczej i zapraszamy Pana w nasze góry - Góry Świętokrzyskie" - wpisała się kadra kolonii. Niżej podpisy grupy junaków z 13-5 OHP w Jastrzębiu Zdroju. Na następnej stronie dostojny podpis: "mgr Kolczyński, Uniwersytet Warszawski, Katedra Etnologii...". Są też wpisy po angielsku, czesku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, włosku i norwesku! Marian Karol Leja był człowiekiem przesadnie skromnym. O wielu faktach z własnego życia nigdy nie wspominał. Ja sam, chociaż posiadam w domu małą galerię jego prac i znałem go - tak mi się przynajmniej wydawało - dosyć dobrze, odkryłem go na nowo już po śmierci, właśnie owego popołudnia.

Artysta urodził się w 1928 r. w Łukowicy, ale jego familia po mieczu - bo matka pochodziła spod Ojcowa - wywodziła się z Cichego w Zakopanem. Ród Lejów znany był pod Giewontem, przecież nawet między Kościeliską, a Chochołowską jest Dolina Lejowa. Marian od dziecka ponoć rzeźbił, nie przejawiając przy tym przesadnych zainteresowań w kierunku

uprawy roli, co nie mogło spotkać się z przychylnością rodziców - wszak czasy były ciężkie. Dość, że doszło do konfliktu i w wieku 12 lat mały artysta uciekł z domu do Zakopanego i tam zamieszkał z dziadkami.

I tutaj moje pierwsze zdziwienie, bowiem leży przede mną świadectwo na którym widnieje, że M.K.Leja uczęszczał w roku szkolnym 1949/50 do 3 klasy działu rzeźby Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem - czyli słynnego "Kenara"-i to w tym mniej więcej czasie co Hasior. A więc jednak pan Marian nie był całkowitym samoukiem!

Z "Kenara" artysta trafił prosto do Ludowego Wojska. Czasy były stalinowskie, a rekruta wysłano do jednostki w Strzelcach Opolskich do służby wartowniczej. Okazało się, że pan Marian pilnował więźniów politycznych, a byli pośród nich biskupi, księża i partyzanci z AK. W ostatnim miesiącu służby zdecydował się na krok, który zaważył na całym jego życiu. Musiał to dobrze przemyśleć.

Wiedział o grożących konsekwencjach. Pod osłoną nocy uwolnił z więzienia "wrogów ludu"i wraz z nimi uciekał w kierunku granicy. Niestety, został schwytany...Trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze na prawie 8 lat. Był torturowany, kilkakrotnie złamano mu prawą rękę - rękę rzeźbiarza! Siedział w jednej celi z opatem klasztoru na Jasnej Górze. Dlatego, gdy został uwolniony na mocy amnestii w 1958r., brał ślub z panną Rozalią z ręki tegoż opata w samej Częstochowie przed cudownym obrazem!

Trzymam w ręku dyplom dla M.K.Leja za zajęcie I miejsca w dziale rzeźby na XI Konkursie Amatorów Plastyków na Sądecczyźnie w 1973 r. W roku poprzednim zdobył II nagrodę w "Wielkim Konkursie Współczesnej Rzeźby Ludowej Karpat Polskich". Z poźółkłej notatki prasowej wyciętej z "Dziennika Polskiego" wynika, że już w 1972 r. szacowano dorobek rzeźbiarza na około 600 dzieł! Moją uwagę

przykuwa także dyplom "Członka Honorowego Białostockiego Towarzystwa Kultury". Okazuje się, że pan Leja zdobył w 1976 r. drugą nagrodę w białostockim konkursie "Wojsko w sztuce ludowej". To nie koniec obecności górala na północy kraju. Zdobyl np. nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Pamiątkarskim w Świnoujściu. Należał także do Stowarzyszenia Twórców w Lublinie. Przeglądam album z fotografiami. Na jednym z nich uśmiechnięty artysta w stroju podhalańskim stoi przed Pałacem Kultury w Warszawie. Na innym widać w tle budynki Utrechtu w Holandii i wewnątrz galerii w Ostrawie na Słowacji. Figurki Frasobliwego czy wiejskich muzykantów odwiedziły w latach 70. i 80. wraz ze swoim autorem wiele miast i krajów. Był to niewątpliwie najszcześniejszy okres w karierze artystycznej Mariana Karola Leji. Okupione to zostało jednak ogromnym wysiłkiem, a pamiętać należy, że twórca właściwie nigdy nie odzyskał pełnej sprawności prawej ręki. W 1990r. osłabiony organizm odmówił posłuszeństwa. Rzeźbiarz doznał paraliżu połowy ciała. Był nieprzytomny dwa tygodnie i mimo, że stan był bardzo ciężki udało się go tym razem uratować. Niestety, musiał odłożyć dłuto.

Nigdy natomiast nie utracił pogody ducha. Zawsze uśmiechnięty i skory do rozmowy snuł plany na przyszłość. Myślał nawet o zbudowaniu małej pracowni pod Skiełkiem...

Na szczęście - jak zawsze, kiedy odchodzi artysta - pozostają jego dzieła. Można podziwiać rzeźby, płaskorzeźby a także malarstwo na szkle pana Mariana w Muzeum Ziemi Limanowskiej w Limanowej, w licznych domowych zbiorach, również w kapliczkach, jak choćby w tej pięknej, zawieszanej na starej gruszy między Cisówką a Pępówką. Akurat teraz znakowany jest obok niej nowy szlak turystyczny. Warto więc idąc z Łukowicy na Łyżkę przystanąć tutaj na chwilę i podumać, że był taki artysta...

Jarosław Czaja, Łukowica, styczeń 2008